

KSIEGA I, ROZDZIAŁ „47. NARODZINY JEZUSA, NASZEGO PANA” (por. Łk 1,6-7)

„Nadal widzę wewnątrz tej nędznej kamiennej groty, w której – dzieląc los ze zwierzętami – znaleźli schronienie Maryja i Józef.

Mały ogień drzemie, podobnie jak jego stróż. Maryja pozwoli unosi głowę z posłania i patrzy. Widząc, że Józef ma głowę zwieszoną na piersi, jakby rozmyślał, sądzi, że zmęczenie wzięło górę nad chęcią czuwania. Uśmiecha się dobrotliwie i – czyniąc mniej szelestu niż mógłby to zrobić motyl sfruwający na różę – siada, a potem klęka. Z promiennym uśmiechem na twarzy modli się. Ramiona ma otwarte, prawie rozkrzyżowane, wyciągnięte w przód, a dłonie – odwrócone ku górze. Trwa tak, bez żadnych oznak zmęczenia uciążliwą pozycją. Potem chyli się w ukłonie, dotykając twarzą siana. Pozostaje w tej postawie, zatopiona w żarliwej modlitwie. Modli się długo.

Józef się budzi. Widzi dogasające ognisko i pogrążoną prawie w ciemnościach stajnię. Rzuca garść chrustu i ogień rozbłyska. Dorzuca grubszych gałązek, potem wybiera jeszcze większe, bo ziąb jest dotkliwy. Chłód pogodnej grudniowej nocy wnika zewsząd w ruiny. Biedny Józef siedzi tak blisko drzwi – jeśli można tak nazwać zatkaną jego płaszczem dziurę – że musi być zlodowaciały. Przybliży ręce do ognia, potem rozwiązuje sandały i zbliża do niego również stopy. Rozgrzewa się. Gdy płomień się wznieca i rozjaśnia otoczenie, odwraca się, ale nic nie widzi. Nie dostrzega już nawet jasnego pasma, utworzonego przez biały welon, który przedtem znaczył jasną linię na ciemnym sianie. Wstaje więc i ostrożnie zbliża się do posłania.

«Nie śpisz, Maryjo?» pyta.

Musi zapytać trzy razy, zanim Maryja uświadamia to sobie i odpowiada: «Modlę się.»

«Czy Ci czegoś potrzeba?»

«Nie, Józefie.»

«Spróbuj zasnąć na chwilę... wypocząć przynajmniej.»

«Spróbuję. Ale modlitwa Mnie nie męczy.»

«Żegnaj, Maryjo.»

«Żegnaj, Józefie.»

Maryja wraca do poprzedniej pozycji. Józef zaś, by nie ulec znów pokusie snu, klęka koło ognia i też modli się, zakrywając twarz rękoma. Odejmuje je tylko po to, by podsycać ogień, i znów wraca do żarliwej modlitwy. Poza trzaskaniem palącego się drewna i tupaniem osła, który od czasu do czasu wali kopytem w klepisko, nic nie słychać.

Odrobina księżycowego światła wciska się przez otwór w powale. Wygląda jak ostrze z niematerialnego srebra, które zbliża się, szukając Maryi. W miarę jak księżyc wschodzi wyżej na niebie, promień stopniowo się wydłuża, aż wreszcie dosięga Jej. Oto pada na głowę Modlącej się. Otacza Ją aureolą bieli.

Maryja unosi głowę, jakby wezwana wołaniem z wysoka, i znowu klęka. O, jak tu jest pięknie! Podnosi głowę, która wydaje się jaśnieć białym księżycowym światłem. Przemienia Ją niezemski uśmiech. Co widzi? Co słyszy? Czego doświadcza? Tylko Ona sama mogłaby odpowiedzieć na pytanie, co widzi, co słyszy i odczuwa w jaśniejącej godzinie Swego Macierzyństwa. Ja zauważam tylko to, że otaczający Ją blask ciągle wzrasta, wzrasta i wzrasta. Sprawia wrażenie, że zstępuje z Nieba, wydaje się wypływać z nędznego otoczenia, ale nade wszystko zdaje się wydobywać z Niej samej.

Jej ciemnolazurowa suknia wydaje się teraz łagodnym błękitem niezapominajek, a dłonie i twarz zdają się niebieskawe, jakby były umieszczone w świetle olbrzymiego, bladego szafiru. Ta barwa – aczkolwiek mniej intensywne – przypomina mi kolor, jaki widuję w widzeniach przedstawiających święty Raj. Zauważałam ją w widzeniu związanym z przybyciem Magów. [Teraz światło to] rozlewa się coraz bardziej na przedmioty i suknię, oczyszcza je i sprawia, że błyszczą.

Poświata coraz bardziej wydobywa się z ciała Maryi, wchłaniającego promienie księżyca. Wydaje się, że to Ona przyciąga ku Sobie to światło, mogące pochodzić tylko z Nieba. Teraz Maryja jest Tą, która posiada Światłość; jest Tą, która ma dać światu Światło. To uszczęśliwiający, nieogarnione, niezmierny, wieczny, boski Światło, które właśnie ma być dane, zapowiada się brzaskiem, jutrzanką, chórem atomów światła. I światło to wzrasta, wzmaga się jak przypływ, wznosi się coraz bardziej jak kadzidło i splywa jak fala, ściela się niczym welon...

Sklepienie pełne pęknięć, pajęczyn i wystających gruzów, które tylko dzięki jakiemuś cudowi statyki nie ulegają zawaleniu, to sklepienie dotychczas czarne, zakopcone i odrażające wydaje się sufitem królewskiej komnaty. Każdy kamień to bryła srebra. Każda szczelina jest błyskiem opalu. Każda pajęczyna [wygląda jak] drogocenny baldachim tkany srebrem i diamentami. Wielka jaszczurka śpiąca między dwoma głazami wygląda jak zapomniany tam przez królową szmaragdowy naszyjnik. Grono śpiących nietoperzy to cenny kandelabr z onyksu. Zwisające z wyższych jaseł siano to już nie trawa, lecz nici z czystego

srebra, drżące w powietrzu z wdziękiem rozwianych włosów.

Stojący niżej żłób z ciemnego drewna, wygląda jak bryła oksydowanego srebra. Ściany pokrywa brokat, na którym jasność jedwabiu znika pod haftem ozdobionym wystającymi perłami. A czymże jest teraz klepisko? To oświetlony białym światłem kryształ. Występy zdają się różami ze światła, rzuconymi na znak hołdu na ziemię. A dziury to kryształowe puchary, z których wydobywają się wonności i zapachy.

Światło coraz bardziej wzrasta. Staje się nie do zniesienia dla oka. W tym świetle, jakby wchłonięta za rozżarzoną zasłoną, znika Dziewica... i ukazuje się Matka.

Tak. Kiedy moje oczy znów mogą znieść jasność światła, widzę Maryję ze Swym nowo narodzonym Synem w ramionach. Małe, różowe i pulchniutkie Dzieciątko porusza się i macha rączkami małymi jak pączki róży i różkami, które zmieściłyby się w jej kielichu. Kwili drżącym głosem nowo narodzonego jagnięcia, otwierając buzię jak poziomka i ukazując drgający przy różowawym podniebieniu języczek. Porusza główką tak jasną, że wygląda jakby była bez włosów. Tę okrągłą główką Mama podtrzymuje w zagłębieniu jednej dłoni i patrzy na Swoje Dzieciątko i uwielbia Je ze łzami i z uśmiechem. Pochyliła się, żeby Je pocałować, ale nie w niewinną główkę, lecz w pierś, gdzie jest maleńkie serduszko, które bije, bije dla nas... to serduszko, w którym pewnego dnia będzie Rana... Mama już teraz opatruje tę ranę Swym nieskalanym pocałunkiem.

Zbudzony blaskiem wół podnosi się z rykiem i hałasem kopyt, a osiołek odwraca łeb i też ryczy. Zwierzęta zbudziło światło, lecz wolę myśleć, że chcą powitać swego Stwórcę w imieniu swoim i wszystkich zwierząt.

Także Józef – który pograżył się w modlitwie tak intensywnej, że był oderwany od wszystkiego, co go otaczało – otrząsa się i widzi, że dziwne światło prześwituje mu przez palce [dłoni, w których ukrył twarz]. Odejmuje więc dłonie od twarzy, podnosi głowę, odwraca się. Stojący wół zasłania Maryję, która woła:

«Chodź tu, Józefie!»

Józef zrywa się. Widząc [Dziecko] zatrzymuje się porażony szacunkiem i tam, gdzie stoi, chce paść na kolana.

Maryja jednak nalega: «Podejdz, Józefie!»

Opiera lewą rękę na sianie, prawą zaś trzyma Dzieciątko, tuląc Je do serca. Wstaje i podchodzi do wahającego się Józefa, który idzie onieśmielony. Pragnie podejść, lecz powstrzymuje go lęk, żeby nie okazać braku szacunku. Małżonkowie spotykają się przy posłaniu, patrzą na siebie płacząc ze szczęścia.

«Chodź – mówi Maryja. – Ofiarujemy Jezusa Ojcu.»

Józef klęka, Ona zaś, stojąc pomiędzy dwoma podpierającymi pułap słupami, unosi Swe Dziecko w ramionach mówiąc:

«Oto jestem... W Jego Imieniu, o Boże, mówię Ci te słowa. Oto jestem, żeby pełnić Twoją wolę. A wraz z Nim – Ja, Maryja, i Józef, Mój małżonek. Oto Twój słudzy, Panie. Spraw, żebyśmy w każdej godzinie i w każdym zdarzeniu pełnili Twoją wolę – dla Twojej chwały i z miłości do Ciebie.»

Potem Maryja schyla się i podaje Dzieciątko Józefowi, mówiąc:

«Weź, Józefie.»

«Ja? Mnie [Je dajesz]? O, nie! Nie jestem godzien!»

Józef jest wprost przerażony i sparaliżowany myślą, że ma dotknąć Boga. Maryja nalega jednak z uśmiechem:

«Jesteś bardzo godny i nie ma godniejszego od ciebie. Dlatego właśnie ciebie wybrał Najwyższy. Weź Go i potrzymaj, Józefie, Ja zaś poszukam ubranka.»

Józef, czerwony jak purpura, wyciąga ramiona i bierze to maleńkie ciało krzyczące z zimna. Kiedy ma Dziecię w swoich ramionach, nie upiera się już, żeby Je trzymać z szacunkiem z dala od siebie. Tuli Jezusa do serca, wybuchając głośnym płaczem:

«O! Panie! Boże mój!»

Schyla się, żeby ucałować nóżki. Czuje, że są zziębnięte, więc siada na ziemi, tuli je do siebie, zakrywa swą brązową szatą, stara się rękami osłonić przed zimnem nocy i ogrzać. Chciałby przybliżyć się do ognia, lecz tam wieje od wejścia. Lepiej tu zostać. A jeszcze lepiej będzie wejść między oba zwierzęta, które mogą osłonić przed przeciągiem i wydzielają ciepło. Idzie więc między woła i osła, ustawia się tyłem do wejścia, pochyla nad Nowonarodzonym, żeby zrobić wnękę z własnej piersi. Jej boczne ściany stanowi z jednej strony szara głowa z długimi uszami, a z drugiej – wielki biały pysk, z parującymi chrupkami i dobrymi wilgotnymi oczyma.

Maryja otworzyła już kuferek i wyciąga płótno oraz pieluszkę. Podchodzi do ognia i ogrzewa je. Idzie do Józefa i owija Dziecię w lekko ogrzane płótno. Główkę osłania własnym welonem.

«Gdzie Go teraz położymy?» – pyta.

Józef rozgląda się wokół siebie, zastanawia się...

«Poczekaj – mówi. – Odsuniemy zwierzęta i ich siano. Ściągniemy tamto siano i położymy je tutaj, w [żłobie]. Jego wystający brzeg będzie osłoną od wiatru, a z siana zrobimy poduszkę. Wół ogrzeje Dzieciątko swoim oddechem. Lepszy będzie wół, bo jest bardziej cierpliwy i spokojniejszy.»

Józef zabiera się do roboty, a Maryja kołysze Swe Maleństwo, tuląc Je do serca. Przybliży policzek do główki Jezusa, żeby ją choć trochę ogrzać. Józef, nie szczedząc

[gałęzi], podsycy ogień, by płonął wysoko. Ogrzewa siano, susząc je po trochu. Potem wkłada je w zanadrze, żeby nie ostygło. Gdy ma go już dosyć na posłanie dla Dzieciątka, idzie do żłobu i wyściela go jak kołyskę.

«Gotowe – mówi. – Teraz potrzeba tylko przykrycia, żeby siano nie kłuło i żeby Go okryć...»

«Weź Mój płaszcz.» – mówi Maryja.

«Będzie Ci zimno.»

«O, nie szkodzi! Derka jest zbyt szorstka! A płaszcz jest miękki i ciepły. Wcale nie jest Mi zimno. Niech tylko On już nie cierpi!»

Józef bierze duży płaszcz Maryi, wykonany z delikatnej ciemnoniebieskiej wełny, i kładzie go w żłobie złożony podwójnie w taki sposób, by jedna część zwisała poza wystającą krawędź żłobu.

Pierwsze łóżeczko Zbawiciela jest gotowe. Matka, stąpając pełnym wdzięku, delikatnym krokiem, niesie Je i kładzie. Połą płaszcz zakrywa Dziecko. Otula też gołą, pograżoną w sianie główkę, oddzieloną od niego jedynie Jej delikatnym welonem. Odkryta pozostaje tylko twarzyczka, wielkości ludzkiej pięści. Oboje, schyleni nad żłobem, patrzą szczęśliwi na pierwszy sen Dzieciątka. Ciepło pieluszek i siana koi płacz i przynosi sen słodkiemu Jezusowi.”

KSIĘGA I, Fragment z rozdziału 48 „«JA, MARYJA, [MIAŁAM UDZIAŁ W] ODKUPIENIU NIEWIASTY DZIĘKI MOJEMU BOSKIEMU MACIERZYŃSTWU»

[...] Ja, Maryja, [przyczyniłam się do] odkupienia niewiasty przez Moje Boskie Macierzyństwo. Ale to było jedynie początkiem ocalenia niewiasty.

Pozbawiając się przez ślub dziewictwa każdego ludzkiego [aktu] małżeńskiego, odrzuciłam wszelkie pożądliwe zaspokojenie, zasługując na łaskę Bożą. Ale to jeszcze nie wystarczało, gdyż grzech Ewy był drzewem o czterech gałęziach: pychy, chciwości, łakomstwa, nieczystości. I wszystkie cztery musiały być odcięte całkowicie, ażeby uczynić to drzewo bezowocnym.

Upokarzając się do głębi, pokonałam pychę. Uniżałam się przed wszystkimi. Nie mówię już o Mojej pokorze wobec Boga. Ona bowiem należy się Najwyższemu od każdego stworzenia. Pokorne było [nawet] Jego Słowo. Musiałam więc ją posiadać i Ja, Niewiasta. Czy jednak zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, jakich upokorzeń musiałam doznawać ze strony ludzi, nie broniąc się w żaden sposób? Nawet Józef, który był sprawiedliwy, oskarżał Mnie w swoim sercu. Inni ludzie, którzy nie byli sprawiedliwi, grzeszyli oszczerstwem co do Mego stanu. Szmer ich słów dochodził [do Mnie] jak gorzka fala, godząc w to, co [ważne] dla człowieka. A były to dopiero pierwsze z niezliczonych upokorzeń, których dostarczyło Mi życie

Matki Jezusa i rodzaju ludzkiego. Upokorzenia z powodu ubóstwa, upokorzenia uciekinierki [do Egiptu], upokorzenia z powodu wymówek krewnych i przyjaciół, którzy – nie znając prawdy – uważali za słabość Moje matczyne zachowanie wobec Mojego Jezusa, kiedy stał się młodym człowiekiem... Upokorzenia trzech lat Jego posługi, okrutne upokorzenia w godzinie Kalwarii, upokorzenia aż do konieczności uznania, że nie mam środków, by kupić grób i wonności dla [namaszczenia ciała] Mojego Syna... *Pokonałam chciwość Pierwszych Rodziców, rezygnując przed czasem z Mojego Dziecka.* Matka nigdy nie wyrzeka się dziecka, chyba że jest zmuszona rozstać się z nim. Kiedy ojczyzna, miłość małżonki lub sam Bóg prosi o nie jej serce, matka broni się przed rozstaniem. To naturalne. Dziecko wzrasta w jej łonie i nigdy nie ulega przerwaniu więzi łącząca je z nią. Nawet po przerwaniu życiodajnego przewodu pępowiny, zawsze zostaje nerw, wychodzący z serca matki – nerw duchowy, bardziej żywy i wrażliwszy od nerwu fizycznego – i łączy je z sercem dziecka. I matka odczuwa udreki, jeśli miłość do Boga lub do jakiegoś stworzenia albo też obowiązki wobec ojczyzny oddalają od niej dziecko. Matce rozdziera się serce, gdy śmierć wyrywa jej dziecko.

A Ja wyrzekłam się Mojego Syna, od chwili kiedy Go miałam. Oddałam Go Bogu. Wam Go dałam. Pozbawiłam się Owocu Mego łona, aby wynagrodzić [Bogu] za kradzież owocu Bożego, [dokonaną przez] Ewę.

Pokonałam zachłanne pragnienie wiedzy i przyjemności. Zgodziłam się na to, by wiedzieć jedynie to, co Bóg chciał, żebym wiedziała. Nie pytałam ani siebie, ani Jego o nic ponad to, co Mi powiedział. Wierzyłam bez dociekania.

Pokonałam pragnienie przyjemności, bo wyrzekłam się wszelkiego smaku zmysłów. Podeptałam Moje ciało. Ciało – narzędzie szatana – skazałam na zdeptanie wraz z nim pod Moją piętą, aby zrobić Sobie w ten sposób stopień zbliżający do Nieba. Do Nieba! Do Mojego celu. Tam, gdzie jest Bóg: jedyne Moje pragnienie. Pragnienie, które nie jest zachłannością, lecz potrzebą błogosławioną przez Boga, który chce, abyśmy Go pragnęli.

Pokonałam nieczystość, która jest nieumiarkowanym pragnieniem doprowadzonym do zachłanności. Każda bowiem zła skłonność, której się nie pokonuje, prowadzi do jeszcze większej wady. I tak pragnienie Ewy, już zasługujące na naganę, doprowadziło ją do rozpusty. Nie wystarczało jej już sprawianie sobie samej przyjemności. Chciała doprowadzić swój występki do doskonałego natężenia i zbliżyć się do towarzysza, stając się nauczycielką rozpusty. Ja zaś dążyłam do przeciwnego celu. Nie staczałam się, lecz zawsze wstępowałam w górę. Nie ściągałam nikogo w dół, lecz zawsze pociągałam w górę. Mojego cnotliwego towarzysza uczyniłam aniołem.

Teraz – mając Boga, a z Nim Jego nieskończone bogactwa – pośpiesznie wyrzekałam się ich. Mówiłam: “Niech Twoja wola będzie spełniana ze względu na Niego i przez Niego”.

Czystym jest człowiek powściągliwy nie tylko w ciele, lecz także w uczuciach i myślach. Musiałam być Czystą, aby unicestwić Nieczystość ciała, serca i umysłu. I nie porzuciłam Mojej powściągliwości. Nie mówiłam o Moim Synu nawet tego, że na ziemi należy tylko do Mnie, jak był jedynie Boży w Niebie: “On jest Mój i chcę Go [mieć przy Sobie].”

Ale nawet to jeszcze nie wystarczało, żeby zdobyć dla niewiasty pokój utracony przez Ewę. Otrzymałam go dla was u stóp Krzyża, kiedy patrzyłam, jak umiera Ten, którego narodzenie widziałas. Kiedy słyszałam krzyk Mojego umierającego Dziecka, czułam, jak się rozdzierają Moje wnętrzności, i zostałam [wtedy] pozbawiona wszystkiego, co kobiece. Nie było już [we Mnie] ciała, lecz anioł. Maryja, Dziewica poślubiona Duchowi, umarła w tamtej chwili. Pozostała Matka Łaski: Ta, która w Swojej udźce zrodziła wam Łaskę i wam ją dała. Kobieta – którą w noc Bożego Narodzenia na nowo konsekrowałam na niewiastę – u stóp Krzyża otrzymała środki, aby stać się dzieckiem Niebios.

Uczyliłam to wszystko dla was, wyrzekając się wszelkiego zaspokojenia, nawet świętego. Z was – zdegradowanych przez Ewę kobiet nie przewyższających towarzyszek zwierząt – uczyniłam święte Boże. Jednak [możecie] nimi być tylko wtedy, *gdy będziecie tego chcieli*. Wspinałam się wzwyż ze względu na was. Was wznosiłam w górę jak Józefa. Skała Kalwarii jest Moją górą Oliwną. Stamtąd wznosiłam się, aby zanieść do Niebios ponownie uświęconą duszę niewiasty, razem z Moim ciałem, uwielbionym z powodu noszenia Słowa Bożego oraz unicestwienia w Sobie ostatniego śladu Ewy, ostatniego korzenia tego drzewa o czterech trujących konarach i korzeniu zapuszczonym w zmysłowość. Ono pociągnęło do upadku ludzkość i aż do końca wieków, i aż po ostatnią niewiastę będzie kąsało wasze wnętrzności. Stamtąd, gdzie teraz jaśnieję w promieniach Miłości, wzywam was i wskazuję wam Lekarstwo dla pokonania samych siebie: Łaskę Mojego Pana i Krew Mojego Syna.

A ty, Mój głosie [Maryja zwraca się do Marii Valtorty], daj odpoczynek twojej duszy, w światłości tego świtu Jezusa. Musisz mieć siły dla przyszłych krzyży, które nie będą ci oszczędzone. Chcemy, abyś i ty była tutaj, a tu się przychodzi przez ból. Pragniemy, abyś była tutaj. Im więcej utrapień znosi się, żeby uzyskać Łaskę dla świata, tym wyżej się dochodzi. Trwaj w pokoju. Jestem z tobą.»

Życie i twórczość Marii Valtorty

Maria Valtorta była jedynym dzieckiem pochodzących z Lombardii Józefa Valtorty, podoficera służącego w kawalerii, oraz Izydy Fioravanzi, nauczycielki języka francuskiego. W szkole podstawowej wyróżniała się jako najlepsza uczennica w klasie. Z racji pracy ojca, rodzina często musiała zmieniać miejsce zamieszkania. Miała trudne życie, naznaczone przez nieustanne konflikty z niezwykle surową i despotyczną matką, a następnie kalectwo. Począwszy od 1917 roku, przez półtora roku pracowała jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym we Florencji. Dnia 17 marca 1920 roku, kiedy spacerowała ulicą w towarzystwie matki, została uderzona metalowym prętem w plecy przez młodocianego przestępcę. Wskutek napadu przez 3 miesiące leżała w łóżku, zaś z biegiem lat jej stan się pogarszał. Od lat trzydziestych stan jej zdrowia pogorszył się tak znacznie, że była przykuta do łóżka. Wówczas oddała się modlitwie i twórczości pisarskiej. Wtedy też zaczęła twierdzić, że w jej pokoju, kiedy nikt nie widzi, pojawiają się Jezus Chrystus oraz Jego Matka i dyktują jej szczegóły ze swego życia. Opisała to w autobiografii, dodając, że czasem pisała coś, czego nawet nie rozumiała.

Jej największe dzieło: *Poemat Boga-Człowieka* to powstały w latach 1943-1947 monumentalny zbiór opowieści o życiu Jezusa. Opublikowała też komentarze do fragmentów Pisma Świętego, wykłady doktryny Chrystusa, dzieje pierwszych chrześcijan, utwory o pobożności. Twórczość Marii Valtorty trwała równo 10 lat, od 1943 do 1953 roku. W tym czasie zapisała ponad 15 tysięcy stron. Główne, jedenastotomowe dzieło przetłumaczono na wiele języków. Maria Valtorta, widząc, że nie będzie jej dane zobaczyć aprobaty władz Kościoła rzymskokatolickiego dla jej pracy, zaczęła z początkiem 1956 roku osuwać się w chorobę psychiczną. Stała się beczynna, mówiła nie na temat, albo przestawała mówić wcale.

Pisarka zmarła w 1961. Jej ciało spoczywa we Florencji, w głównym krużganku Kościoła Zwiastowania, dokąd zostało przeniesione w 1973. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył wówczas o. Gabriel Roschini, włoski mariolog i profesor Uniwersytetu Papieskiego na Lateranie, prywatnie zafascynowany twórczością Valtorty i, jako jeden z nielicznych teologów, wyrażający uznanie dla sposobu przedstawiania Matki Bożej w jej pismach

ŚWIADECTWA CZYTELNIKÓW

Można by mnożyć nazwiska czytelników, których zdobyło sobie dzieło Marii Valtorty. Należeli do nich między innymi Padre Pio, Matka Teresa z Kalkuty oraz mariolog Gabriel Roschini, który stwierdził: "Wszystko, co przeczytałem w tak wielu książkach o Maryi, wydaje mi się takie papierowe w porównaniu z portretem, jaki przedstawiła Maria Valtorta." Nie staram się tu dokonać teologicznej oceny dzieła Marii Valtorty, lecz jedynie stwierdzam, jakie skutki wywołuje u Czytelników jego lektura.